Leigh Brackett

Placówka na Io

(Outpost on Io)

Planet Stories, Winter 1942
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain 5 868

I

MacVickers zatrzymał się na krawędzi ciemnego, okrągłego szybu

Było zimno, a on był zupełnie nagi, poza srebrnym kołnierzem zaspawanym na jego karku. Ale to coś więcej niż zimno wywołało u niego dreszcze i ściskało mu długie, kościste szczęki.

Nie miał pojęcia, do czego służył ten szyb, ani dokąd może on prowadzić. Ale przeszyło go nagłe wrażenie, że kiedy już znajdzie się na dole, to pozostanie tam na dobre.

Mała, okrągła metalowa platforma zakołysała mu się niespokojnie pod nogami. Za jej barierką, tak dalece jak MacVickers mógł sięgnąć wzrokiem, czyli aż po krzywiznę blisko położonego horyzontu na Io, widać było tylko błoto. Rzadkie, szlamowate, niebiesko-zielone błoto.

Szyb schodził gdzieś pod warstwę błota. MacVickers popatrzył na niego. Oblizał suche wargi, a jego szaro-zielone oczy, zwężone i rozgorączkowane, jarzące się na wychudzonej ciemnej twarzy, obrzuciły desperackim spojrzeniem niewielki latacz, z którego właśnie przed chwilą został wyprowadzony.

Pojazd kołysał się na falującym błocie, jakby kpiąc sobie z niego. Pomiędzy nim i MacVickersem stał ośmiostopowy strażnik z Europy, wykonujący powolne ruchy plątaniną swoich macek.

MacVickers zmierzył Europianina pełnym nienawiści wzrokiem, jak wilk złapany w pułapkę. Gładkie czarne ciało strażnika nabrało w świetle Jowisza, przyćmionego czerwonawego połysku. Nie dało się u niego rozróżnić ani przodu, ani pleców, nie miał twarzy. Tylko cztery, długie, jakby gumowe, nogi, baryłkowate ciało i falująca korona macek, na górze.

MacVickers obnażył białe, nierówne zęby. Jego wielkie, kościste dłonie zacisnęły się w pięści. Zrobił krok w kierunku Europianina.

Jedna z macek wyskoczyła, z wyraźną przyjemnością, i dotknęła srebrnego kołnierza na gardle Ziemianina. Uderzył w niego mocny ładunek elektryczny, wygenerowany przez ciało Europianina, przepływając mu wzdłuż kręgosłupa wstrząsającą, oślepiającą agonią.

Odrzuciło go w tył i jego stopa znalazła się w pustce. Wykręcił się na ślepo, chwytając za przeciwległą ścianę szybu i zawisł nad nim, próbując namacać stopami szczeble drabinki i przeklinając na głos ochrypłym, pozbawionym barwy tonem.

Macka uderzyła ponownie, szybkimi, delikatnymi, umiejętnymi ruchami. Trzy razy chlasnęła go piekąco przez twarz i dwukrotnie, jeszcze mocniej, po rękach. Potem ponownie dotknęła kołnierza.

MacVickers zwymiotował i puścił się brzegu szybu. Poleciał z brzękiem w dół, zsuwając się po drabince Udało mu się zamortyzować upadek na znajdującej się niżej metalowej podłodze i przykucnął tam, chory, wściekły i wystraszony.

Pokrywa włazu zatrzasnęła się za nim z łomotem, jak uderzający młot zagłady.

MacVickers wpadł do okrągłego, kiepsko oświetlonego pomieszczenia, o średnicy trzydziestu stóp, którego podłoga i ściany zbudowane były z jakiegoś metalu. Sufit był z grubych płyt glasytowych. Przez nie, bardzo wyraźnie, MacVickers mógł dostrzec czterech pilnujących ich europiańskich strażników.

– Oni są tam zawsze – powiedział przyciszonym głosem Wenusjanin. – Po pewnym czasie pokochasz ich, przybyszu.

U podnóża drabinki, razem z Wenusjaninem, stała grupa istot, trzynaście osób. Ziemianie, Marsjanie, Wenusjanie, bladzi, zupełnie nadzy, wymazani jakimś niebiesko-zielonym brudem. Mięśnie na ich wychudzonych ciałach, rysowały się mocno, zaś srebrne kołnierze nadawały im szyderczy pozór bogactwa.

Gdzieś w głębi siebie, MacVickers wzdrygnął się. Jego nozdrza zmarszczyły się. W pomieszczeniu czuć było strach. Wyczuł go, jego dreszcz przeszywający powietrze. Strach, który był czymś normalnym i do którego byli przyzwyczajeni, skryty w niespokojnym śnie, ale gotów w każdej chwili się obudzić.

Z tyłu, w cieniach zalegających pod ścianami prycz, byli jeszcze inni więźniowie. Nic nie mówili, ani nie podeszli razem z innymi.

Wziął głęboki oddech i powiedział spokojnym tonem:

– Nazywam się Chris MacVickers. Jestem działającym w głębokim kosmosie kupcem z Terry. Złapali mnie, kiedy próbowali przedostać się przez linię Asteroidów.

Ich oczy błyszczały w jego stronę, wędrując od niego do czegoś za nimi, czego nie potrafił dostrzec. Wyraźnie na coś czekali, i było w tym coś naprawdę makabrycznego.

Wenusjanin stwierdził krótko:

– Naprawdę pech, MacVickers. Nazywam się Loris, ostatnio ze Straży Wenusjańskiej. Przedstawcie się, chłopcy.

Zrobili to, urywanymi, nieobecnymi głosami, prześlizgując się wzrokiem od niego, do niewidocznego czegoś. Loris zaprosił go trochę bliżej i jeden ze znajdujących się w grupie Ziemian, wyszedł aby go przywitać.

– Jestem Pendleton – przedstawił się. – *Starfish*. Pamiętasz mnie?

MacVickers wpatrywał się w niego. Zmarszczki w jego kanciastej twarzy bardzo się pogłębiły:

– Do licha! – Powiedział to bardzo miękko i zupełnie nie jak przekleństwo. – Pendleton!

Mężczyzna kwaśno się uśmiechnął. Był Anglikiem, obszarpanym cieniem wielkiego, rumianego, jowialnego człowieka, którego pamiętał MacVickers.

– Spore zmiany, co? No cóż, być może my akurat mamy szczęście, MacVickers. Nie będziemy musieli oglądać klęski.

Głowa MacVickersa, opadła.

– A więc, ty również widzisz jej nadejście?

Loris wydał z siebie krótki śmiech, niemal bliźniaczo podobny do szlochu. Cały desperacki chłopięcy humor zniknął mu z twarzy, pozostawiając ją starą i ponurą.

– A kto tego nie widzi? Jestem tutaj od… Bóg tylko wie, jak długo. Całą wieczność. Ale nawet zanim nasz statek został pochwycony, już o tym wiedzieliśmy. Nie jesteśmy w stanie budować statków w takim tempie, w jakim ich jowium je niszczy. Kiedy przedzierają się przez Linię Asteroidów…

Cichy głos Pendletona był grobowo ponury.

– Mars jest stary, zmęczony i rozrywany klęską głodu. Wenus jest co prawda młoda, ale jej dzielności brakuje dyscypliny. Zamieszkujący ją barbarzyńcy, nie nadają się zupełnie do prowadzenia zmechanizowanej wojny. A co do Ziemi… – westchnął ciężko. – Może gdybyśmy nie walczyli aż tak zażarcie między sobą…

MacVickers stwierdził szorstkim tonem:

– To i tak nie miałoby większego znaczenia. Kiedy ktoś dysponuje bronią, powodującą, że metale eksplodują, rozpadając się na pojedyncze atomy, to nie ma żadnej różnicy, jakie siły zgromadzi się przeciwko niemu.

Pokręcił swoją kanciastą głową z niecierpliwością.

– Co to za miejsce? Co tutaj robicie? Jowiańcy po prostu przywieźli mnie tutaj i wrzucili do środka, bez jednego słowa wyjaśnienia.

Pendleton wzruszył ramionami.

– Nas także. Tam na dole jest dziura, pełna różnych maszyn. Pracujemy tam, ale nikt nam nie powiedział po co. Oczywiście, snujemy całe mnóstwo domysłów.

– Domysłów! – Słowo to wróciło ostrym echem w gęstym, gorącym powietrzu. Z grupy więźniów wypadł jeden z nich, i stał teraz, kołysząc się wraz z nieustannym ruchem podłogi. Był to śniady Marsjanin z Dolnych Kanałów. Żółte, kocie oczy nowoprzybyłego lśniły w wystającej, zaostrzonej jak siekiera twarzy, a żylaste, sznurowate mięśnie, wyraźnie się sprężyły.

– Powiem ci, czym jest to miejsce, Ziemianinie. To jest piekło! A my znaleźliśmy się w samym jego środku. Złapani w pułapkę do końca naszego życia. – Zwrócił się do Pendletona. – To twoja wina. Byliśmy w neutralnym porcie. Moglibyśmy tam sobie bezpiecznie siedzieć. Ale nie, ty musiałeś lecieć z powrotem…

– Janu! – głos Pendletona trzasnął jak bicz. Marsjanin natychmiast umilkł, wpatrując się w niego. W jego żółtych oczach widać było więcej niż nienawiść. *Dando*, początek szaleństwa uwięzienia w zamkniętej

przestrzeni. MacVickers widział już ludzi, którzy nie mogli wytrzymać zamknięcia podczas podróży w dalekim kosmosie.

Anglik cicho wyjaśnił:

– Janu był moim najlepszym człowiekiem. Raczej ma mi to wszystko za złe.

Marsjanin warknął, a potem zaczął kaszleć. Kaszel przeszedł w paroksyzm. Potykając się odszedł od nich, z poszarzałą twarzą, wykrzywiony, zgięty niemal w pół.

– To z powodu gorąca – powiedział Loris – i wilgotności. Biedny facet.

MacVickers pomyślał o powietrzu na Marsie, zimnym, suchym i czystym. Podłoga zakołysała się pod nim. Pełne dziwnego blasku wyczekiwania otaczające go oczy, nadal ukradkowo przesuwały się na ukryte coś, za stojącymi ludźmi.

Namacalnie poczuł w płucach gorące, wilgotne powietrze. Pocił się obficie. Zaczął wzbierać w nim wir mdłości, a dookoła światła zawirowały. Twardo zacisnął zęby.

Spytał:

– O co chodziło Janu, kiedy mówił o reszcie naszego życia? Przecież nas wypuszczą, kiedy skończy się wojna –– jeżeli pozostanie jakieś miejsce, do którego będziemy mogli sobie pójść.

Odpowiedziała mu napięta cisza. Potem jednak od strony cieni pod ścianą nadleciał urywany, szepczący śmiech.

– Wojna? Oni wypuszczą nas jeszcze przed nią!

Grupa rozstąpiła się. MacVickers dojrzał przelotnie kogoś wielkiego, przykucniętego na podłodze, w dziwnej pozycji. Potem jednak nie był w stanie już patrzyć na nic innego, poza postacią, która powoli wyszła z cienia na światło.

Poruszała się ona na sztywnych nogach, zataczając się, a jej gołe stopy wydawały na metalowej podłodze suche stuki i trzaski. Ręka MacVickersa zacisnęła się mocno na wiszącej za nim drabince.

To była istota rozumna, Ziemianin. Jego ciało nadal było normalne, a jego budowa, rysy twarzy i inne cechy, zupełnie w porządku. Ale otaczał go jakby cieniutki film, blada, niebieskozielona powłoka, błyszcząca przyćmionym, matowym blaskiem.

Wyciągnął do przodu rękę, pokazując dłoń, która wyglądała, jakby została wyrzeźbiona w akwamarynie.

– Dotknij jej – wyszeptał.

MacVickers dotknął jej. Była zupełnie twarda i ciepła wyłącznie na skutek gorąca powietrza. Szarozielone oczy MacVickersa napotkały spojrzenie zapadniętych, osłoniętych powłoką oczu Ziemianina. Ciało miał wyraźnie obolałe, z powodu wysiłku, włożonego w walkę o kontrolę nad nim.

– Kiedy już w ogóle nie możemy się poruszać – opowiadał szepczący głos, – zabierają nas tym szybem na górę, i tam wyrzucają nas w błoto.

To właśnie dlatego się tutaj znalazłeś –– ponieważ zabrakło nam jednego człowieka.

MacVickers położył ręce za plecami, na szczeblu drabinki.

– Jak długo to trwa?

– Około trzech ziemskich miesięcy.

Popatrzył na niebieskozielone plamy, które wszyscy mieli na sobie. Kolor błota na powierzchni. Spoczywające na szczeblu drabinki ręce przybysza, lekko się spociły.

– Co to jest?

– Coś w tym błocie. Myślę, że to jakaś radioaktywność. Zdaje się, że zmienia ona węgiel znajdujący się w ludzkim ciele, na postać krystaliczną. Człowiek staje się chodzącym klejnotem. To proces bezbolesny. Ale to jest… – Nie dokończył.

Na czole MacVickersa pojawiły się paciorki potu. Stojący koło niego, obserwujący go ludzie, uśmiechnęli się lekko. Za nimi coś się poruszyło. Loris i Pendleton zesztywnieli, a ich spojrzenia porozumiewawczo spotkały się ze sobą.

MacVickers powiedział niewzruszenie.

– Nie rozumiem. Błoto jest przecież na zewnątrz.

Loris odparł z dziwną pośpieszną nagłością.

– Ty również tam będziesz. Już niemal nadszedł czas na kolejną zmianę…

Przerwał. Ludzie nagle się rozproszyli, przykucając z tyłu w nierównym kręgu, uśmiechając się ze zwierzęcą nerwowością. W pomieszczeniu nagle zapadła zupełna cisza.

Kucający człowiek, podniósł się. Stał na potężnych, prążkowanych nogach, szeroko rozstawionych, kołysząc się w rytm ruchów podłogi. Jego okrągła głowa była wręcz zatopiona pomiędzy zwałami mięśni. Przyglądał się uważnie Ziemianinowi, bladymi, płaskimi oczkami.

Loris przysunął swoją postarzałą zgorzkniałą twarz, do ucha MacVickersa. Wyszeptał prawie bezgłośnie.

– Birek. To on jest tutaj szefem. To zupełny szaleniec. Nie walcz nim.

II

Szarozielone oczy MacVickersa zwęziły się lekko. Nie poruszył się, nawet nie drgnął. Birek wciągał powietrze powolnymi, głębokimi oddechami, przypominającymi westchnienia. Był Wenusjaninem, z węglowych bagien tej planety, sądząc po jego rozmiarach, bladej cerze i brudnobiałych włosach, kłębiących mu się na karku.

W przyćmionym świetle pomieszczenia także nieznacznie połyskiwał. Na jego skórze uformowała się już powłoka z klejnotu.

Rozległ się ostry jak nóż, zaskakujący w panującej poprzednio ciszy odgłos, i w podłodze otworzyła się z hukiem, okrągła pokrywa włazu. Pot na MacVickersie zrobił się zimny. Z dziury zaczęli wychodzić więźniowie, gdzieś na samej krawędzi jego pola widzenia. Nadzy, brudni mężczyźni ze srebrnymi kołnierzami.

Rozmawiali między sobą, przeklinali, przepychali się. Pierwszy z nich zobaczył Bireka i natychmiast przerwał, a wzdłuż rzędu ludzi, w głąb szybu, popłynęło milczenie. Ponownie w całym pomieszczeniu zapadła kompletna cisza, przerywana jedynie chropawymi stęknięciami rzeczy, ogrzewających się w gorącym, wilgotnym powietrzu buchającym z włazu, oraz miękkimi plaśnięciami ciał nagich ludzi wchodzących po drabince.

Na szczęce MacVickersa naprężyły się sznury mięśni. Przesunął lekko środek ciężkości ciała, odsuwając się nieco od drabinki. W słabym świetle widział wysuwające się do przodu twarze, zainteresowane, oczekujące.

Świecące oczy, lśniące zęby, kości policzkowe błyszczące od potu. Wystraszeni, cierpiący ludzie, obserwujący strach i cierpienie innych ludzi i czerpiący z tego zadowolenie.

Birek poruszył się, powoli. W jego oczach utrzymywał się blady blask, jak odbłysk dalekiego lodu, a na wargach pojawił się lekki uśmiech.

– Modliłem się – powiedział delikatnym tonem. – I zostałem wysłuchany. Ty, nowy człowieku! Dalej, padaj na twarz.

Loris uśmiechnął się do Bireka, ale w jego oczach nie było śladu wesołości. Odsunął się trochę od MacVickersa. Stwierdził beztroskim głosem:

– Teraz nie czas na to, Birek. To nasza zmiana. Spalą nas tutaj wszystkich, jeżeli nie pójdziemy.

– Dalej, padaj na twarz – powtórzył Birek nie patrząc na Lorisa.

Na czole MacVickersa zaczęła pulsować żyła. Na tle potężnego cielska Wenusjanina, wyglądał niepozornie, niemal karłowato.

Odparł cicho:

– Nie szukam kłopotów.

– No to, na podłogę.

– Przepraszam – oświadczył MacVickers. – Ale nie dzisiaj.

Głos Pendletona trzasnął ostro.

– Zostaw go w spokoju, Birek! A wy tam, dalej do drabinki! Oni już idą po obezwładniacze.

MacVickers uświadomił sobie jakiś ruch na górze, nad szklanym dachem. Ludzie zaczęli powoli, z niechęcią, schodzić po drabince. Na czole Pendletona widać było pot, zaś twarz Lorisa zrobiła się równie szara, jak jego oczy.

Birek powiedział ochrypłym głosem:

– Na podłogę! Czołgaj się! Wtedy będziesz mógł pójść.

– Nie. – Drabinka na dół, znajdowała się za Birekiem. Nie było żadnej sposobu na to, aby go ominąć.

Loris rzucił do niego, pośpiesznym twardym szeptem:

– Kładź się, MacVickers. Na miłość Boską, na podłogę, a potem chodźmy stąd!

MacVickers z uporem pokręcił głową. Gigant uśmiechnął się. W tym uśmiechu było coś straszliwie nienormalnego. Był to uśmiech człowieka w agonii, w chwili gdy bierze go w swoje objęcia środek znieczulający. Pełen spokoju i szczęścia.

Wyprowadził uderzenie, niepokojąco szybko, jak na tak wielkiego człowieka. MacVickers uchylił się w bok. Pięść Wenusjanina prześlizgnęła się po jego głowie, rozdzierając mu ucho. Przykucnął i sam ruszył do akcji, próbując szybkiego uderzenia na ciało, a następnie odejścia w bok.

Zapomniał o błyszczącej powłoce. Pięść MacVickersa uderzyła Bireka w osłonięte nią miejsce, i odczuł to jak uderzenie w szkło, które się nie rozprysło. Rękę przeszył mu ból, powodujący odrętwienie, spowalniający, osłabiający. Z kostek palców popłynęła krew.

Prawa Bireka zamiotła łukiem do środka, uderzając go w bok głowy. MacVickers padł na prawy bok. Birek postawił mu lekko stopę plecach.

– Na podłogę – powiedział. – Czołgaj się.

MacVickers wykręcił się pod stopą przeciwnika, warcząc ze złości. Złośliwie uniósł do góry własną stopę, kopiąc nią z całej siły. Ból uderzenia spowodował, że wyrwał mu się jęk, ale Birek zatoczył się do tyłu, tracąc równowagę.

Na jego twarzy nie było widać bólu. Stał tylko, spoglądając na leżącego MacVickersa. Nagle, ku wstrząsowi Ziemianina, zaczął płakać. Zupełnie bezgłośnie, nie wydając żadnego dźwięku. Nie poruszył się. Ale z oczu płynęły mu łzy.

Głęboki, wolny dreszcz przeszył MacVickersa. Delikatnie spytał:

– To chyba nie z bólu, co?

Birek nic nie mówił. Łzy błyszczały na lekkiej, ale twardej powłoce, pokrywającej policzki Wenusjanina. MacVickers powoli się podniósł. Bruzdy na jego twarzy były głębokie i ostre, a wargi zupełnie białe.

Loris pociągnął go za sobą. Skądś krzyczał głos Pendletona:

– Pośpieszcie się! Pośpieszcie się, błagam was!

Strażnicy robili coś na górze. Rozległ się słaby, skwierczący odgłos i snop iskier rozbłysnął wokół górnej krawędzi ścian. Od srebrnego kołnierza na szyi, przez całe ciało, MacVickersa przeszył szarpiący, rwący ból.

Ludzie zaczęli szeptać i przeklinać. Loris wczepił się w MacVickersa, popchnął go w dół drabinki i kopnął w twarz, żeby się pośpieszył. Ból zelżał.

MacVickers popatrzył do góry. Wielkie, pokryte węzłami mięśni nogi Bireka również schodziły na dół, zaś podeszwy jego stóp wywoływały w zetknięciu z szczeblami drabinki cichy twardy stukot.

Właz nad ich głowami zamknął się. Gdzieś ponad ramieniem doleciał do niego suchy i słaby głos umierającego Ziemianina.

– To tutaj będziesz pracował aż do śmierci. Jak ci się to podoba?

MacVickers odwrócił się, groźnie na niego spoglądając. Było bardzo gorąco. Pomieszczenie na górze, w porównaniu z tym, było wręcz chłodne.

Powietrze było gęste i zastałe, przesiąknięte oparami rozgrzanego oleju i metalu. Była to duża przestrzeń, rozciągająca się bez żadnych widocznych przeszkód, do krawędzi zakrzywionej ściany, ale czuło się tutaj jak w dusznym, ciasnym zamknięciu.

Całe to miejsce wypełniały maszyny, ryczące, syczące i brzęczące, rozciągające się jednym połączonym ciągiem, począwszy od wielkich pomp pobierających, poprzez jakieś niezidentyfikowane potężne konstrukcje, z rozstawionymi między nimi pompami olejowymi, aż do wylotu tego wymuszonego obiegu powietrza.

Urządzenie to pompowało błoto do szerokiej płuczki, a wszędzie dookoła widać było niebieskozielone zacieki.

Wysoko na ścianach wisiały dwa glasytowe boksy sterujące, w których siedzieli czarni, najeżeni mackami Europianie. Jakieś pięć stóp nad nimi znajdował się system metalowych pomostów, dający pełne pokrycie całej powierzchni podłogi. Na nich również widać było chodzących Europian. Było ich ośmiu, bez przerwy patrolowali cały teren.

Ich gładkie, pozbawione twarzy ciała, nie były narażone na kontakt z błotem. W mackach nieustannie trzymali ciężkie plastikowe rury, a na każdym przecięciu pomostów, zamontowane były ciężkie porażacze.

MacVickers uśmiechnął się kwaśno.

– Bardzo bezpieczne.

– Bardzo. – Pendleton pchnął go kuksańcem w stronę silnika, zamontowanego przy jakimś rozdzielaczu wirówkowym. Loris i pokryty niebieską otoczką Ziemianin, podążyli za nimi. Na końcu powoli szedł Birek.

MacVickers zapytał:

– A do czego to wszystko służy?

Pendleton pokręcił przecząco głową.

– Nie wiemy. Ale mamy taki pomysł, że z tego błota wydobywa się jowium.

– Jowium! – szarozielone oczy MacVickersa zaczęły robić się coraz bardziej rozgorączkowane. – To ten materiał wygrywa dla nich wojnę. Niszczyciel metali!

– Oczywiście, nie jesteśmy pewni. – Niesamowicie zmęczone oczy Pendletona przebiegły po całym ciągu metalowego kompleksu, aż do jego końca. – Ale sam tylko popatrz. Czy to ci czegoś nie sugeruje?

Olbrzymia rura powietrza pod ciśnieniem, wymuszającego ruch błota, biegła wzdłuż całego kompleksu maszyn, a następnie wychodziła poza osłonę z ciężkiej metalowej siatki. Tuż ponad nią, zamknięty za glasytową płytą o potrójnej grubości, znajdował się kanał prowadzący do góry. Kanał, sądząc po niezwykłych rozmiarach podpór oraz jego kolorze, zbudowany był z czystego ołowiu.

Ołów. Ołowiana rura, ołowiany pancerz. Promieniowanie, które zmienia żywych ludzi w na wpół żywe diamenty. Nikt nie wiedział czym było jowium, ani skąd pochodziło. Znano tylko jego działanie.

Ale naukowcy z trzech oblężonych planet sądzili, że prawdopodobnie był to izotop jakiegoś silnie radioaktywnego metalu, być może uranu,

zdolny do wzbudzania gwałtownie postępującego rozpadu atomów metalicznych.

– Gdyby – delikatnym głosem stwierdził MacVickers – te rury były wyłożone od środka plastikiem… Handlowałem sporo na księżycach Jowisza, ale jedyne złoża tego błota, jakie widziałem poza Io, to wypełniony nim rondel na J-XI! To musi być ich jedyne źródło!

Loris popchnął w jego stronę puszkę z olejem.

– A jaką to robi różnicę? – powiedział gwałtownie.

MacVickers wziął od niego puszkę, w ogóle na nią nie patrząc.

– Gromadzą to gdzieś wyżej, w przestrzeni pomiędzy zewnętrzną i wewnętrzną ścianą. Gdyby ktoś zdołał się wydostać tam na górę i puścił to wszystko dalej …

Usta Pendletona wykrzywiły się sarkastycznie.

– Czy widzisz może jakiś sposób na to?

MacVickers zaczął się rozglądać. Strażnicy i porażacze, drabinki pod napięciem i metalowe osłony. Nie ma żadnej broni, a ponadto żadnego miejsca do jej ukrycia. Oznajmił zajadle:

– Ale gdyby komuś udało się uciec i zanieść wieści z powrotem… Te urządzenia stanowią potencjalną bombę, dostatecznie dużą do tego, aby rozsadzić Io na kawałki! Eksperci sądzą, że wystarczy jedynie niewielki ułamek czystego materiału, do zasilenia całego ładunku dezintegratora.

Pod szczęką MacVickersa coś zaczęło mocno pulsować, a jego zielonoszare oczy rozjaśniły się mocno.

Loris odparł tylko:

– Ucieczka.

Wypowiedział to słowo tak, jakby było to absolutnie najpiękniejsze słowo we wszechświecie, a jednocześnie jakby parzyło go ono w usta.

– Ucieczka – wyszeptał człowiek w błyszczącej, śmiertelnej powłoce akwamarynu. – Nie ma stąd żadnej innej ucieczki, poza… tym.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, odezwał się MacVickers:

– Ja mam zamiar spróbować. W taki, czy w inny sposób, ale będę próbował.

Niesamowicie zmęczone oczy Pendletona, popatrzyły na żywe rumieńce widoczne na twarzy MacVickersa.

– Były już takie próby. Ale bez żadnego pożytku.

Birek nagle obudził się ze swojego dziwnego oszołomionego milczenia. Popatrzył do góry i z gardła wyrwało mu się chrapliwe chrząknięcie. MacVickers pochwycił kątem oka jakiś ruch w górze, ale nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Kontynuował, mówiąc stanowczym równomiernym głosem:

– Toczy się wojna. Wszyscy jesteśmy w nią zaangażowani. Żołnierze i cywile. Królowie, ważni ludzie oraz ci nic nie znaczący. Kiedy wręczono mi mój dyplom kapitański, powiedziano mi, że obowiązki mężczyzny nie kończą się, dopóki jego statek nie zacumuje ponownie w porcie, albo nie spotka go śmierć. Mój statek zginął. Ale ja nie jestem jeszcze martwy.

Szerokie, wychudłe ramiona Pendletona, opadły. Odwrócił głowę w drugą stronę. Twarz Lorisa zastygła w martwej masce, wyrzeźbionej z szarej kości. Powiedział, niemal niesłyszalnie:

– Zamknij się, niech cię diabli. Zamknij się.

Ruch nad głową zbliżał się do nich, był już niepokojąco blisko. Rozrzuceni wokół całego pomieszczenia ludzie, przerwali swoją pracę, obserwując MacVickersa błyszczącymi, płonącymi oczyma, ponad gorącym, pokrytym warstwą oleju metalem.

MacVickers stwierdził szorstko:

– Wiem, co z wami jest nie tak. Zostaliście już złamani, zanim jeszcze tutaj się znaleźliście, myśląc że nadchodzi klęska i że wszystko nie ma sensu.

Pendleton szepnął:

– Nawet nie wiesz, co oni ci zrobią.

Od strony sztywnej i zaschniętej ultramarynowej maski Ziemianina, doleciały słowa:

– Nauczysz się jeszcze. Tutaj nie ma nadziei, MacVickers i ludzie muszą zrobić wszystko co się da, żeby znieść to bez bólu. Jeżeli sprawisz, że będą jeszcze bardziej cierpieli, MacVickers, to oni cię zabiją.

Gorąco. Olej i opary metalu, oraz białe, sztywne twarze, pokryte cieniutką warstewką potu. Lśniące oczy, rozgorączkowane i błyszczące ze strachu. Kołysząca się podłoga, ssanie pomp i chwytające go w żołądku mdłości. Birek stojący wyprostowany, nieruchomo, bacznie go obserwujący. Obserwowali go. Wszyscy, byli wpatrzeni w niego.

MacVickers położył stanowczo dłoń na obudowie stojącego koło niego silnika.

– Tu chodzi o coś więcej, niż tylko obowiązek – oświadczył delikatnie i uśmiechnął się niewesoło, co pogłębiło pionowe linie przebiegające mu przez policzki. Jego wynędzniała, celtycka twarz, nosiła w sobie ponure piękno.

Jego głos zabrzmiał jak dzwon, przebijając się czystym dźwiękiem przez ryk maszyn.

– Jestem Christopher Rory MacVickers. Jestem najważniejszą rzeczą we wszechświecie. I jeżeli muszę już oddać swoje życie, to nie zrobię tego, nie zyskując niczego w zamian!

Janu, Marsjanin, znajdujący się po drugiej stronie pomieszczenia, wydał z siebie ostry, łkający okrzyk. Loris i Pendleton cofnęli się od niego, jak psy w strachu przed batem, spoglądając do góry.

MacVickers spostrzegł ciemną zakończoną mackami postać, na znajdującym się nad nimi pomoście, tuż przedtem, zanim przepłynęło przez niego rozdzierające wyładowanie elektryczne. Krzyknął, tylko raz. Ale wtedy do akcji ruszył Birek.

Roztrącił stojących mu na drodze Lorisa, Pendletona i okrytego niebieską otoczką Ziemianina, odrzucając ich na boki, jak dzieci. Jego lewa noga uderzyła MacVickersa od tyłu w kolana, a w tej samej chwili prawa ręka pchnęła twarz Ziemianina.

MacVickers upadł ciężko na wznak, krzycząc w chwili kontaktu z podłogą. Potem Birek rozciągnął się na nim, osłaniając jego ciało, swoją potężną masą.

Straszny, wstrząsający ból zaczął słabnąć. Leżąc tam i spoglądając w blade oczy Bireka, MacVickers zmusił swoje wykrzywione wargi, do wypowiedzenia słowa:

– Dlaczego?

Birek uśmiechnął się.

– Prąd już tak bardzo mnie nie boli. A ciebie, chcę dla siebie samego – żeby osobiście cię złamać.

MacVickers wciągnął głęboki drżący oddech i również uśmiechnął się w odpowiedzi, z głębokimi bruzdami na szczupłych policzkach.

Z tej zmiany nie zachował żadnych klarownych wspomnień.

Gorąco, nieustanna bieganina, duszące powietrze, Janu kaszlący strasznym, stałym rytmem, oraz jego własne ręce, próbujące nakierować w odpowiednie miejsce wylot olejarki. Gdzieś pod koniec czasu pracy MacVickers zemdlał i Birek zaniósł go po drabince na górę.

Nie było sposobu na określenie, jak długo dochodził do siebie. W tym małym piekle czas w ogóle nie istniał. Pierwszą rzeczą, którą zauważył, swoimi wyczulonymi do maksimum zmysłami, człowieka wyszkolonego do pracy na statkach kosmicznych, był fakt, że ruch pomieszczenia się zmienił.

Usiadł wyprostowany na pryczy, na której położył go Birek.

– Fala pływowa – powiedział, opanowując krótkie uderzenie lęku. – Co…

– Suniemy na niej – gorzko odparł mu Loris. – Zawsze tak jest.

MacVickers dosyć dobrze znał księżyce Jowisza. Przypominając sobie olbrzymie pływy i wiatry wywoływane przyciąganiem grawitacyjnym wielkiej planety, wzdrygnął się. Na Io nie było stałego lądu, tylko błoto. A placówka wydobywcza, tak na wyczucie, była zatopionym pod nim pustym dzwonem, puszczonym zupełnie luzem.

Nie mogła być w żaden sposób zamocowana. Żadna lina cumownicza nie byłaby w stanie wytrzymać naporu pływu jowiszowego.

– Jedna rzecz, jeżeli już o to chodzi – rzucił Pendleton ze spokojną złośliwością. – To wszystko wywołuje u Jowiańców, cholerną chorobę morską.

Marsjanin Janu wybuchnął skrzeczącym, ochrypłym śmiechem.

– Dlatego, przez cały czas utrzymują nas w słabym prądzie. – Jego podobna do topora twarz była wyczerpana, a żółte kocie oczy lekko świeciły w przyciemnionym świetle.

Ludzie powyciągali się na swoich pryczach, nie rozmawiając za dużo. Birek usiadł na końcu swojej, obserwując MacVickersa bladymi, nieruchomymi oczyma. W pomieszczeniu panowało lekkie napięcie.

Wyraźnie coś się zbliżało. Mieli zamiar złamać go teraz, zanim ich zrani. Złamać go, albo go zabić.

MacVickers otarł pot z twarzy i stwierdził:

– Pić mi się chce.

Pendleton wskazał ręką na coś podobnego do końskiego żłobu, opartego o gródź. Oczy miał zmęczone i bardzo smutne. Loris przypatrywał się z nachmurzoną miną swoim poplamionym i pokrytym cieniutką powłoką stopom.

W korycie nie było zbyt wiele wody. W dodatku była ona słonawa i tłusta. MacVickers napił się i rozpryskał trochę tej cieczy na twarz i na ciało. Widział, że on również został już wybrudzony błotem. Nie da się go zmyć.

Umierający Ziemianin wyszeptał:

– Jest też jedzenie.

MacVickers popatrzył na kosz z gąbczastym syntetycznym jedzeniem i pokręcił przecząco głową.

Podłoga opadła i mocno się zakołysała. Była w tym jakaś gwałtowność z jednej strony przerażająca, z drugiej łagodnie żartobliwa, jak w pierwszym, delikatnym pacnięciu łapą tygrysa. Loris popatrzył do góry, na szklany dach, z widocznymi za nim czarnymi postaciami.

– Oni dostają czyste powietrze – powiedział. – Przewody naszych wentylatorów mają jedynie kilka cali szerokości, tak żebyśmy nie wypełzli przez nie na górę.

Pendleton odparł mu dosyć głośno.

– Te świnie oddychają przez skórę, przecież wiesz. Tak samo w skórze są organy wszystkich ich zmysłów, wzroku i słuchu.

– Zamknijcie się – warknął Jaru. – Przestańcie gadać choć na chwilę.

W rozciągniętych na pryczach ludziach, z wolna coraz bardziej narastało napięcie, oddychali mocno i głęboko, w przewidywaniu nadchodzących wydarzeń. Zaś Birek podniósł się z łóżka.

MacVickers stawił im czoła, Birekowi i reszcie. Nie czuł żadnego uniesienia w sercu. Czuł się ponury, ociężały i rozbity, jak leżący wół, obserwujący opadający mu na szyję topór. Oświadczył im z gorzkim, gwałtownym spokojem:

– Jesteście gromadą cholernych tchórzy. Ty, Birek. Wystraszyło cię na śmierć to wpełzające na ciebie paskudztwo, i jedynym sposobem, który pomaga ci zapomnieć o lęku, jest wywoływanie cierpienia u innych.

Popatrzył na innych.

– To samo jest z wami wszystkimi. Możecie stłamsić mnie do waszego poziomu, złamać mnie dla wygody waszych dusz, tak samo jak to zrobiliście ze swoimi własnymi ciałami.

Powiódł wzrokiem po wszystkich, po kolei, a następnie popatrzył na olbrzymią, niedostępną postać Bireka i jego wielkie pięści. Dotknął srebrnego kołnierza na swojej szyi, przypominając sobie agonię otrzymanego przez niego wstrząsu elektrycznego.

– A ja w końcu się załamię. Wiecie o tym dobrze, niech was diabli.

Zrobił trzy kroki do tyłu i stanął na rozstawionych nogach.

– A więc, dobrze. No dalej, Birek. Miejmy to w końcu już za sobą.

Wenusjanin szedł w jego stronę po kołyszącej się podłodze. Loris nadal spoglądał na swoje stopy, a oczy Pendletona były samą udręką. MacVickers otarł sobie dłonie o pośladki. Pięści miał śliskie, pokryte warstwą oleju, którym zajmował się podczas pracy.

Ta walka po prostu nie miała sensu. Birek był od niego dwa razy większy, a ponadto i tak nie mógł go w żaden sposób ugodzić. Diamentowa powłoka, stanowiła ochronę nawet przed najgorszymi skutkami porażeń prądem elektrycznym, ponieważ nie była przewodnikiem.

Dawało to umierającym ludziom pewną przewagę, ale nawet jeżeli do tego czasu pozostało im wystarczająco dużo ducha, aby czegoś spróbować, to ciągle były jeszcze do pokonania szczelnie zamknięte przez ciśnienie powietrza włazy, a sama liczba ich cierpiących towarzyszy, mocno ich obciążała. No i w dodatku, każdy z Jowiańców był silny, jak czterech ludzi.

Izolator. Skóra okryta osłoną. Ramiona Bireka naprężyły się, do zadania pierwszego ciosu. Przez warstwę oleju na rękach MacVickersa, próbował przebić się pot, tworząc wrażenie śliskości dłoni, kiedy próbował zacisnąć je w pięści.

Pięść Bireka wystrzeliła w jego stronę. MacVickers uchylił się pod nią, szukając jakiegoś otwarcia dla siebie, bezsensownie drżąc przed bólem uderzenia. Dzwon gwałtownie się przechylił.

W górze nagle poruszył się jeden ze strażników. Oko MacVickersa pochwyciło jego ruch. Coś ostro wrzasnęło mu w głowie. To był głos Pendletona, który mówił: „Oni oddychają przez skórę… Organy wszystkich ich zmysłów…

Bardziej wyczuł, niż zobaczył zbliżającą się pięść Bireka. Wykręcił się wystarczająco mocno, aby przyjąć większą część uderzenia na ramię. Poleciał jednak po podłodze, przez pół pomieszczenia. A potem nastąpiło uderzenie prądu.

Było ono słabe, spowodowało jednak, że zaczął się szarpać i skręcać. Pozbierał się na nogi, stając na przechylonej podłodze i próbując im powiedzieć. Birek jednak znowu zbliżał się do niego, leniwie, z uśmiechem na ustach. Wtedy, zupełnie nagle, otworzyła się ze szczękiem pokrywa włazu, sygnalizując zmianę ekip roboczych. MacVickers przez jakąś sekundę stał nieruchomo. Potem zaśmiał się, dziwnym, leciutkim chichotem, i pomknął ze wszystkich sił do włazu.

III

Poleciał na dół, podczas gdy pięść Bireka przemknęła mu koło głowy. Ludzie krzyczeli i przeklinali. Bezlitośnie ich stratował. Ci z nich, którzy byli niżej, zeskakiwali z drabinki, aby uniknąć jego stóp.

Na górze podniósł się krzyk. W jego stronę wyciągnęły się czyjeś ręce. Uderzał, kopał, zaprawiał z byka. Nabrany na drabince rozpęd, przeniósł go dalej, przez całą szerokość pomieszczenia, w stronę wolnej przestrzeni pomiędzy zakończeniami ustawionych w podkowę urządzeń pompujących błoto.

Wtedy zwolnił. Strażnicy zauważyli bójkę. Ale wydawała się to być zwykła przepychanka przy zmianie ekip roboczych, a sam MacVickers wyglądał jak człowiek spokojnie idący po olej.

Spokojnie. Krew huczała mu w głowie, był zupełnie zimny, a po skórze na plecach przebiegały mu ciarki. Ludzie przepychali się i głośno klęli, wspinając się z powrotem po drabince. Szedł dalej, nie za szybko, walcząc z elektryzującym dreszczem w swojej głowie.

Paliwo i olej do smarowania pompowane były z dołu, przez wielkie pompy ciśnieniowe, przypuszczalnie ze zbiorników na jeszcze niższym poziomie. Wszystkie trzy zestawy pomp, wlotowe, wylotowe i olejowe, pracowały wykorzystując to samo urządzenie sprężające powietrze.

Uruchomił pompę oleju do smarowania i z grzechotem ustawił na miejscu puszki olejarek. Ludzie z jego zmiany rozchodzili się spod drabinki, wykrzywiając się z powodu dużego natężenia światła, rozgorączkowani, rozgniewani, ale niepewni co robić dalej.

W nastawieniu europiańskich strażników, można było dostrzec pewną zmianę. Ich ruchy były ospałe, lekko niepewne. MacVickers uśmiechnął się złośliwie. Choroba morska. Będą jeszcze bardziej chorzy –– jeżeli tylko nie dopadną go zbyt szybko.

Przechył dzwonu zaczął się powiększać. Pływ wzmagał się i błoto zabawiało się dzwonem jak dziecko rzucaną piłką. W żołądku MacVickersa pojawiły się mdłości.

Miernik ciśnienia na pompie stopniowo się podnosił. Patrzył na niego, modląc się. Jego szarozielone oczy robiły się coraz gorętsze i jaśniejsze. Poruszając się mimochodem, niby razem z ruchami pokładu, ustawił się naprzeciwko pomp wlotowych.

Przekręcił koło zaworu sterującego ciśnieniem tak daleko, jak tylko się dało. Koło jego nogi, leżał lekki śrubokręt, przyczepiony na łańcuchu, żeby się nie zgubił. Podniósł go, drżącą i rozdygotaną ręką i zaczął odkręcać łącznik doz rury z powietrzem.

Czyjeś dłonie schwyciły go za ramię, obracając go do tyłu. Prosto w oczy zaświeciły my żółte ślepia Marsjanina, Janu.

– Co ty tutaj robisz, Ziemianinie? To jest moje stanowisko.

W tym momencie, tamten zobaczył miernik ciśnienia. Wypuścił z płuc ostry skowyt, ucięty przez uderzenie pięści MacVickersa, lądującej na jego ustach. Ziemianin błyskawicznie obrócił się z powrotem i zaczął pracować śrubokrętem.

Udało się odkręcić łącznik. Powietrze ze świstem buchnęło z rury, a rytm pracy pomp zaczął się załamywać.

Krzyk Janu jednak zrobił co swoje. Ludzie popędzili w jego stronę, a strażnicy zaczęli się zbierać na górze.

MacVickers rzucił się całym ciałem do krótkiego węża pompy olejowej.

Birek, Loris, Pendleton, umierający Ziemianin, ruszyli za nim z twardymi twarzami. Strażnicy zaczęli obsadzać porażacze. Ma górze, w boksach dyspozytorów, czarne macki śmigały po zestawach przełączników. Musiał działać szybko, zanim odetną mu ciśnienie.

Birek wyprzedzał wszystkich, był już bardzo blisko. MacVickers strzelił mu prosto w twarz strumieniem oleju. To go oślepiło. Potem do akcji wkroczył najbliższy porażacz, wycelowany idealnie, prosto w MacVickersa.

Zacisnął mocno zęby, piszcząc przez nie z bólu, i skierował strumień oleju pod dużym ciśnieniem, w buchające z ochrypłym rykiem z otwartej rury, powietrze.

Olej trysnął w górę, rozpylając się w ciężką, oślepiającą mgłę. Paląca, rozdygotana agonia bólu wstrząsała ciałem MacVickersa, ale trzymał swój wąż, stojąc na szeroko rozstawionych nogach i modląc się, żeby dostatecznie długo na nich się utrzymał.

Pomosty skryły się całkowicie w oleistej zawiesinie. Wiatraki wentylatorów pochwyciły ją, rozprowadzając po całej przestrzeni pomieszczenia. MacVickers krzyknął przez mgłę, z trudem można było rozpoznać, że to ludzki głos.

– Hej, wy tam! Słuchajcie mnie! To jest wasza szansa. Czy macie zamiar podjąć to ryzyko?

Coś upadło, niedaleko, z ciężkim, głuchym łomotem. Coś czarnego, z wystającymi mackami, skręcającego się, pokrytego matową powłoką oleju.

MacVickers zaczął się śmiać, a jego śmiech był jeszcze mniej ludzki, niż głos.

– Tchórze – zawołał. – W porządku. Zrobię to sam.

Ktoś inny krzyczał:

– Oni umierają! Patrzcie!

Rozległ się kolejny głuchy łomot. Gorąca, dusząca mgła, zawirowała skrytą kotłowaniną. MacVickers złapał z trudem oddech, zwymiotował i bezradnie zadrżał. Musi potrzymać wąż jeszcze tylko minutkę, potem go rzuci. Miał zamiar rzucić się potem na podłogę i wrzeszczeć z bólu.

Jeżeli podniosą moc porażacza, choćby o jedną kreskę w górę, to upadnie i umrze. Tylko że oni również umierali, i zapomnieli o mocy.

MacVickersowi wydawało się, że wszystko to trwa już przez całą wieczność, ale tak naprawdę rozegrało się to na przestrzeni kilkunastu uderzeń serca. Z gęstej mgle dobiegały wołania i okrzyki, oraz odgłosy czegoś w rodzaju zwierzęcego tumultu. Nagle nad tym wszystkim zadźwięczał głos Pendletona.

– MacVickers, jestem z tobą, człowieku! Słuchajcie! On nam daje przełom, którego potrzebujemy. Nie zawiedźcie go!

Ale Janu wrzasnął w odpowiedzi:

– Nie! On zabił strażników, ale ich jest znacznie więcej! Usmażą nas z tych boksów sterowniczych, jeżeli mu pomożemy.

Ciśnienie w rurze opadało, w miarę odcinania zasilania. Rozległ się jeszcze ostatni syk, rozprysk olejowego sprayu, a potem cisza. MacVickers upuścił wąż.

Głos Janu krzyczał dalej, ostry i ochrypły ze strachu:

– Mówię wam, że oni nas usmażą. Będziemy tutaj leżeć, zwijać się i wrzeszczeć, aż oszalejemy. Ja umrę. Wiem to. Ale nie chcę przez to przechodzić, za nic! Ja wracam drabinką na górę i będę się modlił, żeby mnie nie zauważyli!

Minęły kolejne sekundy, tumult narastał. Ludzie nagle zostali rozdarci między nadzieją i potwornym strachem. MacVickers powiedział ze zmęczeniem do otaczającej go mgły.

– Jeżeli mi pomożecie, możemy wygrać wojnę dla naszych planet. Zniszczcie ten dzwon, rozpocznijcie reakcję Jowium, zniszczcie Io –– a zwycięstwo będzie nasze. A jeżeli nie chcecie tego zrobić, to mam nadzieję, że będziecie się smażyć tutaj, a potem w piekle.

Więźniowie zadrżeli. MacVickers słyszał ich pełne bólu oddechy, targane szalejącymi w nich emocjami. Niektórzy z nich ruszyli w stronę której dolatywał głos Pendletona.

Janu wydał z siebie niesamowite łkanie, jak ranny kot i ruszył w jego poszukiwaniu.

MacVickers ruszył aby im pomóc, ale nieustannie napływający prąd z porażacza, unieruchomił go na metalowej podłodze. Walczył z wysiłkiem, czując że każdy jego nerw, jego mózg, roztapia się w ogniu drgawek. Wiedział, dlaczego inni przełamali to tak szybko. Prąd robi różne rzeczy w człowieku, w jego wnętrzu.

Nie widział, co się działo. Ciężka mgła pokryła mu oczy, nozdrza, gardło. Przechyły dzwonu były wręcz koszmarne. Ludzie wpadali na siebie, walczyli o utrzymanie równowagi, przeklinali.

A więc udało mu się zabić strażników. Co z tego. Przecież nadal były te boksy sterownicze. Jeżeli nie ruszą na nie, zanim olej opadnie, nie będą mieli najmniejszej szansy.

Może więc poddać się? Pozwolić sobie na rozpłynięcie się w tej ciemności, z którą tak walczy?

Przez mgłę podeszła do niego wielka blada postać. Birek. A więc tak to będzie. No cóż, przynajmniej miał chwilę dobrej zabawy. Jego pięści powędrowały do góry, w instynktownym geście.

Birek roześmiał się. Prąd wstrząsnął nim jedynie nieznacznie, w tej jego cienkiej diamentowej osłonie. Rozłożył ramiona i wyciągnął je w stronę Ziemianina.

MacVickers poczuł, że coś odrywa go od podłogi. Po sekundzie był już poza polem ognia porażacza i ból zniknął. W tym momencie znalazł się na granicy omdlenia, ale wielka łapa Bireka potrząsnęła nim za włosy, a głos Wenusjanina zawołał:

– Powiedz im, mały człowieczku! Powiedz im, że lepiej umrzeć szybko, teraz, niż popaść w szaleństwo ze strachu.

– Chodźmy! – krzyknął Pendleton. – Oto nasza szansa, na to aby pokazać, że ciągle jeszcze jesteśmy mężczyznami. Pośpieszcie się, wy sucze syny!

MacVickers popatrzył na twarz Wenusjanina. Straszny, zmrożony strach, zniknął z jego oczu. Teraz chciał zginąć, szybko, walcząc o swoją zemstę.

Obok nich wychynęła nagle z mgły szara, wynędzniała twarz Lorisa. Nagle zrobiła się ponownie młoda, i zagościł na niej prawdziwy uśmiech. Powiedział tylko:

– Chodźmy, nauczymy ich słuchać rozkazów, Birek. MacVickers, ja… – Pokręcił głową, patrząc gdzieś w bok. – Przecież wiesz.

– Wiem. Lepiej się teraz pośpieszmy.

Gdzieś z mgły doleciał ich tryumfalny głos Pendletona. Janu leżał na kołyszącym się pokładzie, krwawiąc i piszcząc ze strachu. MacVickers wrzasnął z całej siły:

– Kto jest ze mną? Idziemy zdobyć boksy sterownicze. Kto chce zostać bohaterem?

Birek roześmiał się i podrzucił jego ciało do góry, na położony nad ich głowami pomost. Większość ludzi ruszyła wtedy do ataku. Trzech, czy czterech, którzy zostali, oglądając się na Marsjanina, podążyli jednak za nimi.

KONIEC